EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 18 czerwca 1933 R. | NR. 25 (38)

Drogi europeizmu

Wielka sprawa

Znużona ludzkość

Twarde życie

Głos wszechświatowego dziennikarstwa

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Czeczelnicki. Rawski. Szpecht. Brzozowski. Koryzna. Szemplińska. Grostern.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

SŁUSZNA UCHWAŁA

Dnia 6-go b. m. odbył się w Budapeszcie zjazd Komitetu Wykonawczego Międzynarodowej Federacji Dziennikarskiej. Na zjeździe tym przyjęta została następująca rezolucja:

„Komitet Wykonawczy Międzynarodowej Federacji Dziennikarskiej stwierdza, że wolność prasy jest zagrożona w wielu krajach przez nadużycia polityki nacjonalistycznej. Komitet uważa, że wolność prasy jest warunkiem szczerości stosunków międzynarodowych i rękojmią najpoważniejszą suwerenności narodów. Komitet Wykonawczy potępia wszelkiego rodzaj zamachy na niezależność prasy i na wolność wykonywania zawodu dziennikarskiego. Do liczby tych zamachów Komitet zalicza wykraczającą poza granice prawa ingerencję rządów do orjentacji politycznej dzienników, brutalne zastępowanie dziennikarzy przez urzędników, wydalanie dziennikarzy z granic państwa, konfiskaty dzienników, nawet wówczas, gdy są one dokonywane pod pretekstem obrony szczytnych interesów państwowych. Komitet Wykonawczy wzywa organizacje dziennikarskie, należące do F.I.J., (Federation Internationale des Journalistes), a także wszystkie organizacje dziennikarskie do prostestowania i zwalczania wszelkiemi możliwemi środkami tych licznych zamachów.

Stosując powyższe zasady do obecnej sytuacji prasy i dziennikarzy niemieckich, Komitet Wykonawczy z ubolewaniem stwierdza, że jedna z organizacyj, należących do Międzynarodowej Federacji Dziennikarskiej, a mianowicie „Reichsverband der Deutschen Presse" jest w trakcie zaprzeczania powyższym zasadom; Komitet Wykonawczy stwierdza, że walne zgromadzenie Reichsverbandu z dnia 30 kwietnia 1933 r. postanowiło nie przyjmować na członków Żydów i marksistów, i że w ten sposób z organizacji otwartej dla wszystkich dziennikarzy zawodowych uczyniło organizację polityczną. Komitet stwierdza, że taka decyzja jest sprzeczna z duchem i literą art. 2 statutu Międzynarodowej Federacji Dziennikarskiej.

Oddając hołd współpracy, której udzielił Reichsverband Międzynarodowej Federacji Dziennikarskiej od czasu jej założenia, wyrażając wdzięczność i sympatję dla kolegów niemieckich, którzy brali udział w pracach F.I.J. i którzy reprezentowali w Komitecie Wykonawczym tysiące zawodowych dziennikarzy niemieckich, Komitet Wykonawczy oświadcza, że współpraca z „Reichsverbandem" wobec wyżej wskazanych zasad jest obecnie niemożliwa i wyraża nadzieję, że ta współpraca będzie mogła być wznowiona w dniu, w którym Reichsverband powróci do zasad proklamowanych i bronionych nieprzeparcie przez Międzynarodową Federację Dziennikarską".

Delegacja Niemiec na kongres nie przybyła. Nic dziwnego. Mogła się była spodziewać, że dzisiejsza akcja „Państwowego Związku Prasy Niemieckiej" będzie potępiona. Dziennikarze hitlerowscy, wstrzymując się od udziału w kongresie postąpili rozsądniej, niż literaci niemieccy z pod tegoż znaku, którzy musieli opuścić zjazd P. E. N. Clubu.

W komisji, która opracowała powyższą uchwałę, brał udział z ramienia delegacji polskiej, redaktor Stefan Grostern.

Przebieg obrad zjazdu podajemy w „Przeglądzie politycznym".

HANDEL NIEWOLNIKAMI

Uczony Max Gruehl-Neubabelsberg, szef ekspedycji naukowej do Etjopji, podaje w sprawozdaniu, że w Arabji, gdzie urzędują konsulaty europejskie, istnieją specjalne targowiska niewolników. Młoda, zdrowa dziewczyna o jasnobrunatnej skórze osiąga cenę 100 funtów szterlingów. Jest publiczną tajemnicą, że straż króla Hedżasu, (którego syn objeżdżał przed rokiem stolice europejskie) składa się wyłącznie z niewolników. Ponadto skarb państwowy pobiera podatek w wysokości 2 funtów od sprzedaży niewolnika. Handel w samym Hedżasie sięga do 2.000 tranzakcyj rocznie. Towar żywy, sprzedawany na otwartym rynku, stanowią młode kobiety z pogranicznych rejonów Sudanu, Abisynji i Ugandy. Kupują je lub porywają kupcy arabscy i abisyńscy, którzy uwożą je nabrzeżem morza Czerwonego. Sprzedaż niewolników jest oczywiście oficjalnie zniesiona i zakazana przez prawo międzynarodowe, a okręty wojenne nadzorują handel morski u brzegów Arabji. Wybrzeże morza Czerwonego sprzyja jednak zabronionej wymianie żywego towaru. Zabójczy żar słoneczny, brak słodkiej wody, urwista linja brzegów i dzika ludność Somali uniemożliwiają ścisłą i regularną kontrolę. Ekspedycja Gruehl - Neubabelsberga widziała podczas swej podróży baraki, otoczone wysokiemi ostropłotami, przepełnione młodemi kobietami. Na widok Europejczyków krzyczały przeraźliwie „Abet! Abet!" (słuchajcie!), lecz ekspedycja była zupełnie bezsilna wobec doskonale zorganizowanej i uzbrojonej bandy handlarzy.

Większa część towaru ludzkiego, zaofiarowywanego na rynkach arabskich, pochodzi z Abisynji, która od 1924 jest członkiem Ligi Narodów. Rząd zakazał handu niewolnikami i wydał prawo, znoszące niewolnictwo, lecz nie posiadał dostatecznych środków do narzucenia swej woli. Olbrzymie, dzikie Somali abysyńskie niedostępne jest dla stałej kontroli.

Obecnie Komitet Ligi Narodów dla walki z handlem niewolnikami, zamierza wysłać do Abisynji specjalny podkomitet doradczy, oraz finansowo zasilić walkę z hańbą XX wieku.

INSTYTUCJA GODNA UWAGI

W Moskwie istnieje oryginalne biuro informacyjne pod nazwą „Mosgorsprawka". Odpowiada ono na wszelkie pytania obywateli sowieckich. W Moskwie funkcjonuje obecnie 110 kiosków informacyjnych, które w ubiegłym roku udzieliły odpowiedzi na 7 miljonów zapytań telefonicznych, oraz 300 odpowiedzi listownych dziennie. Pytania przychodzą zewsząd — z Jakucka, Kuncewa, z Kamczatki, ze wszystkich krańców Związku, a nawet z zagranicy. Dewiza Mosgorsprawki brzmi: „Niema pytania bez odpowiedzi!"

Grupa robotników z Kalifornji pyta: „Kogo reprezentuje Z.S.S.R. Czy piatiletka naprawdę istnieje?" Albo pytanie: „Jaka religja panuje w Z.S.S.R.? Czy

trzeba uprzednio zaprzeć się Boga, aby stać się obywatelem sowieckim? Wilfred Day (Anglja)."

Obywatel V. z Kaukazu Północnego żąda pouczenia: „Gdzie i kiedy odkryto poraz pierwszy skamieliny mrówek?" Mosgorsprawka zwróciła się w tej sprawie do kilku uczonych — lecz nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi. Pytanie przekazano Akademji Nauk, która wreszcie zaspokoiła ciekawość obywatela z Kaukazu.

Lecz Mosgorsprawka nietylko spełnia rolę informatora. N., kawaler, mieszka samotnie. O 9-ej powinien być w biurze. Dokładnie o godz. 8 budzi go telefon, w którym słyszy głos urzędniczki Mosgorsprawki: „O 9-tej — przy pracy".

W identyczny sposób budzi się o różnych porach 300 urzędników Moskwy. Mosgosprawka zastępuje również urzędników, podczas pracy, którzy na czas dłuższej nieobecności w biurze, przełączają telefon do Mosgorsprawki.

Mosgorsprawka rozesłała w ub. r. swym abonentom 2 miljony wycinków z gazet sowieckich i zagranicznych. Plan pracy na r. 1933 przewiduje cyfrę 5 miljonów wycinków.

RZĄDY GWAŁTU

Tygodnik „Opinja" podaje wszystkie ograniczenia prawne, zastosowane obecnie do Żydów w Niemczech. Między innemi:

Chorzy lub ranni żydowscy nie mają prawa leczenia się w szpitalach publicznych.

Bezrobotni lub ubodzy żydowscy nie mają prawa do zapomóg z funduszów publicznych.

W wypadku śmierci Żyda, członka państwowych kas ubezpieczeniowych, nie wypłaca się pozostałym po nich wdowie lub sierotom renty.

Żyd nie może być zwolniony z aresztu za kaucją. Zwolnienie Żyda z aresztu uwarunkowane jest dostarczeniem dwóch zakładników żydowskich.

Żydzi nie mogą zajmować stanowisk w urzędach państwowych, samorządowych, lub w jakimkolwiek o charakterze publicznych, a więc nie mogą być sędziami, notarjuszami, posłami, członkami rad miejskich, profesorami na uniwersytecie, technikami, urzędnikami w bankach państwowych, nauczycielami i t. d.

Na podstawie ustaw zostali usunięci członkowie-Żydzi z następujących związków przymusowych: ze związków dziennikarskich, ze związków kupców włókienniczych, ze związków handlujących zbożem, bydłem, właścicieli młynów, berlińskich kupców hurtowych, kupców tytoniowych, maklerów giełdowych, towarzystw ubezpieczeniowych aptekarzy, drogistów, handlujących przyborami piśmiennemi, księgarzy, drukarzy, zegarmistrzów, licytantów, fabrykantów maszyn.

Na mocy orzeczenia Sądu Najwyższego pracodawca-Niemiec może oddalić pracownika-Żyda bez odszkodowania, nawet gdyby je przewidywała specjalnie zawarta umowa.

Konfiskata „Epoki"

Numer 24 (37) EPOKI z datą 11 czerwca 1933 r. został skonfiskowany za artykuł p. t. „Tragiczny konflikt" i za wiersz Elżbiety Szemplińskiej p. t. „Nocą".

DROGI EUROPEIZMU*)

Znany francuski filozof spirytualista, Julien Benda, ogłosił w pierwszych trzech tegorocznych numerach paryskiego miesięcznika *La Nouvelle Revue Française* bardzo ciekawą pracę: „Discours à la nation européenne" — przemówienie do Europy.

Już sam tytuł jest ciekawy, gdyż przypomina słynną „Przemowę do narodu niemieckiego" Fichtego.

Praca J. Bendy porusza cały szereg ciekawych i zasadniczych kwestyj.

W każdym z europejskich narodów — pisze J. Benda — „są ludzie, którzy dążą do połączenia tych narodów, myśląc o utworzeniu Europy". Właśnie do tych ludzi się zwraca, do tych „którzy myślą o rewolucji jakiej Europa musi dokanać w dziedzinie intelektualnej i moralnej" i „są zdania, iż właśnie w tych dziedzinach rewolucja jest najbardziej potrzebna, że problem europejski jest przedewszystkiem problemem moralnym, który winien być rozpatrywany, jako taki, poniekąd niezależnie od innych problemów".

J. Benda wyraźnie zaznacza, że apelu swego nie kieruje do tych Europejczyków, którzy głowią się nad tem, co dla zaistnienia Europy, jako samoistnego, odrębnego ciała — należy uczynić w dziedzinie politycznej, gospodarczej lub prawnej.

Jako motto do swej pracy wybrał słowa Spinozy: „Pokój to nietylko nieistnienie wojny, to cnota, zrodzona przez siłę duszy". Walka o pokój, realizacja europeizmu wymaga zdaniem p. J. Bendy — specjalnego nastawienia duchowego, moralnego, wymaga przyjęcia pewnego systemu walorów moralnych, wiary w akcję moralną, górującą nad ekonomiczną. To też autor dąży do przewartościowania przyjętych wartości, do wyrobienia nowego kryterjum dla należytego ustosunkowania się do przeszłości i teraźniejszości.

J. Benda przypomina intelektualistom, którzy dążą do utworzenia Europy, iż winni oni myśleć nie kategorjami narodowemi, nacjonalistycznemi, lecz kategorjami europejskiemi, winni wyrobić w sobie i w innych to, co Saint Simon nazywał umysłowo-

*) *Od Redakcji.* Zamieszczając ten artykuł, możemy narazić się na zarzut nieaktualności. Rozważania na temat konsolidacji Europy wydać się mogą dowodem braku poczucia rzeczywistości dzisiejszej. Zastanawiać się nad sprawą „europeizmu" w chwili, kiedy jesteśmy świadkami wzbierającej fali nacjonalizmów, czyż to nie jest zajęcie już zbyt „teoretyczne"? Otóż nie sądzimy. W tem, co się dzieje obecnie, nie dostrzegamy momentów konstrukcyjnych, lecz jaskrawe objawy chaosu, dezorjentacji i rozkładu. Psychoza nacjonalistyczna pogarsza stan polityczny, gospodarczy i społeczny Europy. Fantastyczne programy t. zw. „autarchji", rzecz prosta, zawodzą. Chwila obecna — to obraz prowizorjum, które w niczem nie ujawnia tendencji trwałości, w żadnej dziedzinie nie stwarza norm stałych, możliwych do utrzymania na dalszą metę. Wkroczyliśmy na bezdroża, obieramy kierunki karkołomne i nieobliczalne, staczamy się po pochyłości, spełniamy pracę Danaid, nieraz z wielkim nakładem energji... Programy „aktualne" wykazują swą niemoc, nie prowadzą do jakiejkolwiek naprawy, świat polityczny Europy kręci się żałośnie w błędnem kole, a świat dyplomacji daje widowisko najsmutniejszej maskarady. W takich warunkach nabierają znaczenia i powagi wskazania „nieaktualne", te, które *wyprzedzają* katastrofalną rzeczywistość dzisiejszą. Skoro „trzeźwe" i „realne" programy, strategje, taktyki, okazują się w najwyższym stopniu błędnemi, trzeba się tem pilniej zająć ideami, które wznoszą się ponad chwilę obecną i torują drogi inne, tamtym, nierozumnym, obłędnym — przeciwstawione, jako wyjście podyktowane przez myśl dalekowzroczną, wolną od dzisiejszych uprzedzeń i nienawiści, od haseł skazanych na zagładę.

ścią europejską, duchem europejskim. To nastawienie winno podkreślać nie to, co dzieli narody europejskie, lecz elementy jedności, łączności, wspólnoty. To też J. Benda zwalcza koncepcję nacjonalistyczną, która doprowadziła do deifikacji narodowości.

Stosując swe kryterjum do przeszłości, J. Benda zwalcza nietylko nacjonalizm XIX stulecia, lecz i epokę odrodzenia oraz francuskich legistów i innych publicystów europejskich, którzy stworzyli teorję suwerenności narodowej, obejmującej między innemi prawo prowadzenia wojny. Autor opłakuje zanik uniwersalnej łaciny na rzecz języków narodowych. Natomiast J. Benda gloryfikuje klerków średniowiecza za ich przywiązanie do idei Rzymskiego Imperjum, filozofów Erazma i Spinozę, jako bohaterów idei europeizmu i odnosi się z wielką sympatją do tych, którzy w przeszłości dążyli do uniwersalizmu i do zjednoczenia Europy. Te próby unifikacji Europy nie udały się dlatego, że poszczególni unifikatorzy w zjednoczeniu Europy widzieli środek do urzeczywistnienia celów imperjalistycznych; jednocześnie w odnośnych okresach historycznych nie było woli do stworzenia Europy, nie istniała nawet idea jedności europejskiej.

A idei tej nie było dlatego, twierdzi J. Benda, że partykularyzmy narodowe nie doszły jeszcze w swym rozwoju do tego momentu, w którym ujawnia się szkodliwość, niedostateczność, nieodpowiedność danej idei politycznej, w takim stopniu, iż ludzie zdają sobie sprawę, że ich dobro wymaga, by ta idea, która już wyczerpała swe walory, została zastąpiona przez nową ideę, antytezę pierwszej.

„Europa — utrzymuje J. Benda — nie powstanie w wyniku zwykłej transformacji ekonomicznej lub politycznej, lecz będzie istniała rzeczywiście tylko wtedy, gdy zaakceptuje pewien system walorów moralnych i estetycznych, przejdzie do egzaltacji pewnego sposobu myślenia i uczuć, zacznie gloryfikować jednych bohaterów historji, dyskwalifikując innych."

„Europa powstanie w ten sam sposób, jak poszczególne państwa. Otóż te ostatnie bynajmniej nie były zwykłym ugrupowaniem, powstałem jedynie dla obsługiwania interesów materjalnych. Państwo dopiero wtedy zaczęło istnieć rzeczywiście, gdy otrzymało system walorów, dostosowany do jego natury, gdy w XIX stuleciu stworzyło sobie nacjonalistyczną moralność. Niemcy zostały stworzone nie przez Zollverein, lecz przez edukatorów i profesorów etyki, którzy wyszli ze szkoły Fichtego. Ten zaś pruski twórca nacjonalistycznej etyki formułował swe nakazy, jako czysto moralne, skąd ich ogromna siła. Fichte bynajmniej nie podawał tych nakazów, jako transpozycji katechizmu gospodarczego na język etyki".

To też J. Benda nawołuje intelektualistów europejskich do rewolucji wewnętrznej, jako warunku niezbędnego dla należytego wykonania przez nich misji wychowawców w duchu europeizmu, żądając przytem od nich, by przestali się korzyć przed ołtarzem Marksa i powrócili do Platona.

Witając tę próbę sformułowania metodologji europeizmu, musimy zarazem wskazać na słabe strony bendowskiej koncepcji.

**
*

Praca J. Bendy jest ciekawa, przedewszystkiem z punktu widzenia koncepcji t. zw. rozbrojenia moralnego. Autor wykazuje, jak dalece szczere dążenie do rozbrojenia moralnego wymaga zupełnego zerwania z dominującemi dziś doktrynami nacjonalistycznemi, które winny być zastąpione przez koncepcję supernacjonalną, ponadnacjonalną (europeizmu). Filozof francuski nie waha się przed wyciąganiem wniosków, które z zajętego przezeń stanowiska wynikają. J. Benda wykazuje przytem w swej pracy zadziwiający symplicyzm, niczem niehamowaną prostolinijność.

To uproszczenie zjawisk, ta niczem bolszewicka prostolinijność, tłomaczy się z jednej strony krańcowym racjonalizmem, z drugiej zaś strony religijnem nastawieniem. Jest to religja intelektualnej i moralnej jedności europejskiej cywilizacji. J. Benda wyraźnie zaznacza, iż chodzi o to, by pragmatyzmowi nacjonalistycznemu przeciwstawić inny pragmatyzm, mytom i mistyce nacjonalizmu przeciwstawić nowy myt, nową mistykę. Religja europeizmu spirytualistycznego powinna, zdaniem J. Bendy, mieć swych apostołów, swych męczenników.

Wystarczy wspomnieć o tych wysokich wymaganiach, jakie J. Benda stawia szermierzom europeizmu, by zdać sobie sprawę z tego, iż apel jego nie może znaleźć wśród intelektualistów należytego echa. Filozof spirytualista zapomina, że intelektualistów łączy z obecnym światem tak wielka ilość potężnych więzów przyziemnych, iż naiwnością jest żądać od klerków heroizmu. W masie swej intelektualiści są bierni, są przesiąknięci jałową kompromisowością. To też budowanie europeizmu na takiej podstawie, jak to czyni J. Benda, jest przedsięwzięciem zgóry skazanem na fiasco.

J. Benda sam pisze, że Europa, jako jednostka nadpaństwowa, powstanie w ten sam sposób, w jaki powstały poszczególne państwa. Otóż państwa nie powstawały bynajmniej naskutek jakichś nakazów moralnych, jakichś koncepcyj prawnych lub socjologicznych. W szczególności koncepcja umowy społecznej powstała ex post i naukowo jest ona daleko słabsza, niż koncepcja Gumploowicza (walka grup etnicznych), lub koncepcja Marksa (walka klas, a raczej grup społecznych). Moralność narodowa, etyka nacjonalistyczna, prawno - polityczna koncepcja państwa, wszystko to powstawało stopniowo, już po zaistnieniu państw, w toku ich rozwoju. O ile poszczególne elementy tych doktryn powstawały wcześniej, to długo trzeba było czekać, aby się one należycie rozpowszechniły, aby stały się częścią składową tego, co amerykański psycholog Baldwin nazwał „dziedzicznością społeczną".

J. Benda przyznaje, że nowa idea polityczna powstaje wtedy, gdy inna jej przeciwstawna, wyczerpała swe walory, stała się szkodliwą.

Podkreśla przytem, iż w pewnym okresie historycznym idea państwa, a właściwie państwo staje się zjawiskiem dodatniem, postępowem. Zgadza się to w zupełności w teorjami socjologicznemi, wedle których w życiu społecznem działa prawo stopniowej integracji skupiania, a zarazem i pogłębiającej się dyferencjacji (różniczkowania).

I otóż J. Benda jest rażąco nielogiczny, gdy potępia francuskich legistów, ideologów królewskiej władzy, ideologów jedności państwowej, humanistów i t. d., którzy walczyli o przyznanie poszczególnym państwom prawa suwerenności i prawa prowadzenia wojny. To potępienie świeckich pisarzy, jak też i wy-

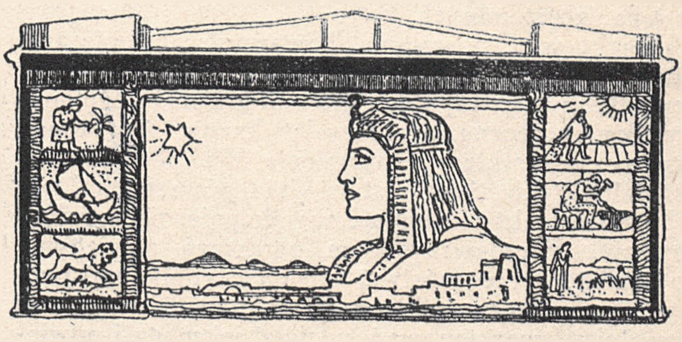
chwalanie średniowiecznych teologów, jako obrońców idei uniwersalizmu — polega na nieporozumieniu, na zgoła dowolnem operowaniu danemi historycznemi.

W odniesieniu do omawianych pisarzy świeckich nie można bynajmniej mówić o „zdradzie klerków". Wszyscy oni walczyli przeciwko chaosowi początków średniowiecza, przeciwko feudalnemu rozkładowi i anarchji. Gdy stawali w obronie t. zw. *jus belli*, to przeciwstawiali oni *bellum publicum* tak zw. *bellum particulare*. Żądając, by prawo prowadzenia wojny należało wyłącznie do króla, legiści ostro występowali przeciwko epidemji wojen prywatnych prowadzonych przez feodałów. Broniąc idei jedności państwa, jedności narodowej, potępiani przez J. Bendę klerkowie bronili idei w ówczesnych warunkach postępowej, narażając się na inwektywy ze strony obrońców tradycji feudalnej, inwektywy, które, jak dwie krople wody, były zapewne podobne do zarzutów, czynionych dziś przez nacjonalistów szermierzom europeizmu. J. Benda przytem zapomina, iż w konstruowaniu teorji suwerenności narodowej i prawa wojny bardzo wielką rolę odegrali najwybitniejsi przedstawiciele średniowiecznej myśli teologicznej — Vitoria, Suarez, Ayala.

J. Benda zapewne uniknąłby wielu podstawowych błędów, gdyby nie łączył sprawę europeizmu z oryginalnemi wprawdzie, ale zbyt mało uzasadnionemi koncepcjami metafizycznemi (krytyka dynamizmu, krytyka pojęcia twórczości, supremacja abstrakcji nad konkretnością i t. p.). Zrozumiałby J. Benda jednocześnie, iż odsuwanie na drugi plan myślicieli i pisarzy, którzy rozpatrują problem europeizmu z punktu widzenia ekonomicznego, politycznego lub prawniczego — wszystko to jest metodologicznie błędne i szkodliwe. Autor przytem znów przeczy sobie samemu. W pewnem miejscu swej pracy pisze: „Przecież zaszła już pewna zmiana. Idea Europy się narodziła. Zasada heglowska spełniła swą rolę. Brak jedności dał się Europie tak dalece we znaki, iż idea jedności europejskiej przeciwstawia się idei rozbicia Europy. Wprawdzie idea jedności europejskiej jest jeszcze w stanie embrjonalnym".

Jak już widzieliśmy, wedle koncepcji J. Bendy zanik pewnej idei, przez pewien okres czasu zwycięskiej, następuje wtedy, gdy idea ta wyczerpuje swe walory, staje się szkodliwą, gdy ludzkość przez cierpienia zdaje sobie sprawę z bezużyteczności, szkodliwości, błędności danej idei. Otóż właśnie pisarze, do których się J. Benda nie zwraca z apelem, wskazują swym współczesnym na to, iż etyka nacjonalistyczna, gospodarka narodowa, suwerenność państwowa, słowem separatyzm, partykularyzm narodowy muszą ustąpić miejsca solidarności międzynarodowej, kooperacji międzypaństwowej. Na konkretnych faktach politycy, prawnicy i ekonomiści wykazują, iż europejskie narody winny stworzyć organizację nadpaństwową, rozszerzyć zasady prawa i etyki społecznej na stosunki międzypaństwowe, o ile Europa, a z nią i świat cały ma się pozbyć tych klęsk, jakie spowodowała wciąż wzmagająca się rywalizacja imperjalizmów nacjonalistycznych. Właśnie umysły, analizujące konkretną, a jakże bolesną — rzeczywistość europejską, pracują nad obudzeniem — w narodach Europy poczucia solidarności europejskiej, solidarności czynnej, która winna doprowadzić do stworzenia z Europy nowego organizmu, jako nowej wyższej formy integracji gospodarczej i polityczno - prawnej. Nie odrywać się od tej falangi europejczyków (polityków, ekonomistów, prawników i socjologów), a ściśle z nimi współpracować — oto droga, którą winien wybrać J. Benda i jemu podobni, o ile chcą, by głoszony przez nich prymat europeizmu nad poszczególnemi narodowemi partykularzami, stał się ciałem, a nie pozostawał złudzeniem.

St. Czeczelnicki



WIELKA SPRAWA

Jest rzeczą uzasadnioną, a nawet konieczną, aby w momentach ciężkich, niemal przełomowych, mobilizować wielki zbiorowy wysiłek społeczny, obejmujący wszystkie środki, będące w naszem posiadaniu. Jest rzeczą pewną, że mocą takiego wysiłku dokonać można dzieł wielkich, które na długie lata decydujący wpływ na życie tej społeczności wywierać będą.

Da się więc to samo powiedzieć i o akcji budowy szkół, podejmowanej przez zaprojektowane przez wiceministra W. R. i O. P. p. Kazimierza Pierackiego *Towarzystwo Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych*.

Towarzystwo ma na celu zgrupowanie ludzi ożywionych wspólną troską o szkołę powszechną. Komórki organizacyjne Towarzystwa zajmą się gromadzeniem środków na budowę szkół powszechnych, a po ich wybudowaniu, na urządzenia szkolne i pomoce naukowe.

Cel piękny, mogący wywrzeć zasadniczy wpływ na kształtowanie się naszego szkolnictwa, a przez nie i naszego życia.

Tymczasem szkolnictwo nasze wogóle, a powszechne w szczególności przeżywa głęboki kryzys. Brak nam środków na zatrudnienie odpowiedniej liczby nauczycieli, a przedewszystkiem *brak izb szkolnych*, aby pomieścić te wielkie masy dzieci, które do wrót szkoły się zgłaszają. W nadchodzącym roku szkolnym *na ogólną liczbę 65.000 izb szkolnych brak nam 12.000 izb, jeżeli nawet stosować będziemy system nadmiernego przeładowania klas, a 27.000 przy zapotrzebowaniu normalnem.* Stan ten pogarszać się będzie z roku na rok, tak że w roku 1939 kiedy liczba dzieci przekroczy 6 miljonów, niedobór izb szkolnych na tle obecnej sytuacji wahać się będzie od 41 do 89 tysięcy izb!

Oczywistem jest, że nawet w okresie normalnej konjunktury ani państwo, ani samorządy takiej liczby izb szkolnych nie wybudują. Kryzys gospodarczy stawia nas w sytuacji jeszcze gorszej, bo w sytuacji, w której na pomoc państwa, a nawet samorządów nie bardzo liczyć można.

Konieczną jest więc rzeczą, aby problem budownictwa szkolnego rozwiązać drogą konsolidacji wy-

siłków wszystkich czynników, a więc społeczeństwa, państwa i samorządów.

Doświadczenie lat ostatnich wykazuje, że na wysiłek społeczeństwa w tej sprawie w dużej mierze liczyć można. W latach bowiem 1930—1932, gdy państwo i samorządy wogóle przestały zajmować się sprawą budownictwa szkolnego, społeczeństwo własnym kosztem i wysiłkami wybudowało ponad 3 i pół tysiąca izb szkolnych.

Projekt więc powołania Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych sięga do czynnika właściwego, do konsolidowania ogólnego wysiłku społecznego, który wykazuje żywotność, a przedewszystkiem zrozumienie dla podstawowej dziedziny życia, jaką jest oświata powszechna.

Tylko projekt ten ujmuje zagadnienie nieco jednostronnie. Przedewszystkiem ogranicza się jedynie do samego społeczeństwa, pomija czynnik państwowy i samorządowy, które jeżeli nawet nie mogą akcji tej subwencjonować, udzielić jej mogą i powinny poparcia.

Działalność swą Towarzystwo zamierza oprzeć na funduszach pochodzących: 1) z wpisowego i składek członków, 2) z ofiar, zapisów, darowizn i subwencyj, 3) z dochodów z nieruchomości i odsetek od kapitałów i udzielonych pożyczek, 4) z wpływów wydawnictw, 5) z dochodów niestałych, jak: koncertów, odczytów, widowisk, zabaw i t. p.

Są to podstawy materjalne zbyt kruche i nie wyczerpują wszystkich możliwości, a przedewszystkiem takich, któreby gwarantowały skuteczną działalność Towarzystwa.

Akcja tego rodzaju, jak zaopatrzenie szkolnictwa powszechnego w olbrzymią liczbę izb szkolnych, nie może opierać się na składkach członkowskich, ani na filantropji, ale wymaga mocnych i gwarantowanych podstaw finansowych. Trzeba więc po nie sięgnąć i wydobyć przedewszystkiem już istniejące fundusze, przeznaczone na cel powyższy.

Wszystkie niemal gminy posiadają fundusze budowy szkół, na koncie których znajdują się kwoty nieraz poważne, a wahające się w granicach od 1.000 — 50.000 zł. Pieniądze te należałoby skupić w jednem ręku, w tym wypadku w Towarzystwie Popierania Budowy Szkół.

Jeśli chodzi o samorząd terytorjalny, to w nim tkwi jeszcze jedno poważne źródło funduszów, które z pożytkiem na cele budownictwa szkolnego wyzyskać można. Są to sumy opłacane jako czynsz za wynajmowane obecnie lokale szkolne. Wydatki te sięgają rocznie kilku miljonów złotych, a nie dają efektywów trwałych. Gdyby pieniądze te dało się zmobilizować również na rzecz Towarzystwa w tym sensie, że należałoby ustawowo zobowiązać gminy, aby za wybudowane przez Towarzystwo izby szkolne płaciły one do kasy Towarzystwa przez określoną ilość lat taki sam czynsz, jaki płacą obecnie osobom prywatnym, możnaby tą drogą uzyskać bardzo poważne kwoty na spłatę zaciągniętych pożyczek i zobowiązań pieniężnych.

Pozatem najważniejszem może źródłem pokrycia akcji budowlanej powinna być pożyczka budowlana państwowa, a przynajmniej gwarantowana przez państwo lub banki państwowe. Towarzystwo zajęłoby się ulokowaniem jej na rynku wewnętrznym i zagranicznym.

Ponadto Towarzystwo powinno mieć prawo urządzania imprez dochodowych na szeroką zakrojonych skalę, jak np. loterja na wzór loterji państwowej.

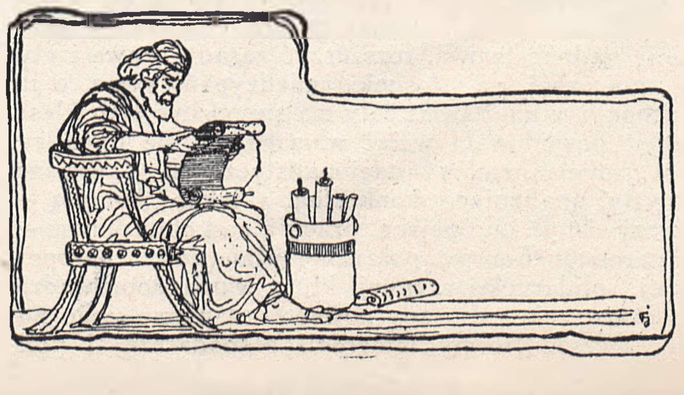
Rzecz prosta, że jeżeli Towarzystwo ma istotnie sprostać swemu zadaniu, czyli w okresie właściwym ma dać szkolnictwu powszechnemu potrzebną ilość izb szkolnych, musi podjąć budowę szkół możliwie tanich, a więc sięgnąć do budulca, który w tej chwili najłatwiej i najtaniej otrzymać można, to znaczy budować przedewszystkiem szkoły drewniane. W tym względzie powinno Towarzystwu pójść na rękę państwo, które z lasów państwowych może dać budulec na długoterminowe spłaty. Lasy państwowe praktykują ten sposób sprzedaży nawet osobom prywatnym. Nie byłoby to więc wykroczeniem poza obowiązujące normy prawne, a Towarzystwo mogłoby, w granicach nawet szczupłego budżetu, akcję swoją wydatnie rozszerzyć.

Przy gruntownem przemyśleniu zagadnienia budownictwa szkolnego, ujętego w formę zbiorowego wysiłku wszystkich zainteresowanych czynników społecznych, możnaby znaleźć wiele jeszcze mniej lub więcej wydatnych źródeł finansowego pokrycia tej akcji. Już jednak z tego pobieżnego przeglądu wynika, że akcję tę należałoby oprzeć nie na samem wyłącznie społeczeństwie, ale wciągnąć w nią również państwo i samorząd terytorjalny. Państwo, zarówno jako wierzyciela (pożyczki pieniężne i materjały budowlane), jak i osobę prawną, udzielającą akcji tej poparcie moralne i w wypadkach koniecznych — ustawowe. Samorząd natomiast, jako instytucję w budownictwie bezpośrednio szkolnem zainteresowaną, a mającą już pewne kwoty przeznaczone na budownictwo szkolne, oraz jako instytucję ponoszącą wydatki na opłatę czynszu za wynajmowane obecnie i w przyszłości lokale szkolne.

Akcja, która może i powinna odegrać w życiu narodu rolę historyczną, nie może opierać się na czynniku jednostronnym, t. j. społeczeństwie z pominięciem czynnika, który ustawowo powołany jest do budowy oświaty powszechnej t. zn. państwa i samorządów. Musi ona skupić czynniki wszystkie, zaangażować je w miarę ich możliwości i środków. Społeczeństwo samo zadaniu temu nie sprosta.

Musimy jeszcze pamiętać, że w każdej akcji ogromne znaczenie ma również czynnik psychologiczny. Każde powodzenie podnieca i budzi nowe wysiłki, ale najmniejsze choćby niepowodzenie łamie i zniechęca. Jeśli więc podejmujemy akcję tak wielką i doniosłą, a za taką uważać należy akcję projektowanego Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych, musimy w niej wyzyskać wszelkie możliwości, poruszyć wszystkie sprężyny, by zamierzony cel osiągnąć.

Aleksander Rawski



ODGŁOSY

ZNUŻONA LUDZKOŚĆ

Tygodnik paryski *Le Monde* zamieścił ciekawy artykuł znakomitego pisarza hiszpańskiego — Miguela de Unamuno. Oto niektóre wyjątki:

„Główną przyczynę obecnego przesilenia ekonomicznego upatruje się w dysproporcji pomiędzy produkcją a konsumcją, w tem, że zamiast produkować dla spożywcy, staramy się przystosować spożycie do produkcji, mechanizując życie aż do ostateczności... Kryzys inny — intelektu i rozumu — zawdzięczamy również nadprodukcji, lecz umysłowej. Myślimy szybciej, niż pozwala na to czas normalny przetrawienia materjału myślowego. Odkrycia naukowe, historyczne i filozoficzne zalewają, zatapiają intelekt współczesnego człowieka.

...„Nauczyliśmy się wątpić o rzeczach dotykalnych, i widzialnych, nawet o realności zewnętrznego świata. Nie mówię już o świecie zjawisk duchowych, którego pojmowanie pełne jest sprzeczności i wątpliwości.

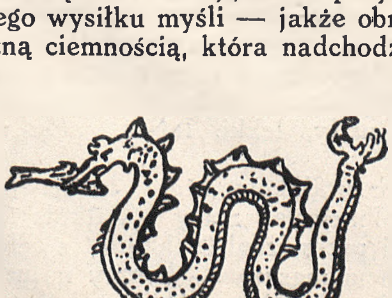
„Mówiłem o tych sprawach z jednym z wielu przyjaciół i usłyszałem odpowiedź: „Ba! Wszystko to są zbytkowne troski. Nie mam czasu na przemyślenie wszelkich spraw. Próżniactwo jest matką wszystkich niepokojów, a ja muszę pracować, aby żyć". Aby umierać — pomyślałem — ponieważ człowiek, który nie ma czasu na myślenie o kwestjach istotnych i wiecznych, nie będzie nigdy też miał czasu, aby wogóle myśleć. Wszystko, o czem pomyśli, otrzyma już przemyślane przez innych. Taka zresztą jest większość współczesnych ludzi: ich myśli sprowadzają się do nieprzetrawionego przyswajania.

„Jak mówi Berdiajew, wielki myśliciel rosyjski, świat przytłoczony nadmiarem wiedzy, nawraca powoli do nowego średniowiecza. Zmierza do nowego okresu intelektualnego odpoczynku, do nowej ery powolnych i spokojnych rozważań duchowych.

...„We wszystkich dziedzinach, nie wyłączając kulturalnej, toczy się jeszcze rozpaczliwa walka o „sens" życia. Lecz walka ta bliska już jest kresu, a światem zaczyna władać coraz szerzej rozprzestrzeniające się zmęczenie. Narody wznoszą fałszywe bóstwa, a wiara w nie zwalnia od elementarnego wysiłku samodzielności. Myśl, wola, a nawet uczucia poddają się dyscyplinie bezmyślnej wiary.

...„Ludzkość jest znużona. Szuka nowych ciemności, które pozwolą na marzenia, a raczej sen. Święty sen przedporodowy...

„Ojcowie, spójrzcie w oczy waszych dzieci, i wyczytajcie w nich: „Te biedne stworzenia, które nie mogą unieść ciężaru historji, które przytłacza ciężar najprostszego wysiłku myśli — jakże obronią się one przed groźną ciemnością, która nadchodzi?"



NAJNOWSZE KSIĄŻKI

ORGANIZACJA PRACY

Praca Wincentego Jastrzębskiego p. t. *„Organizacja pracy fizycznej"* (Wydawnictwo „Drogi", Warszawa, 1933), należy do nielicznych w naszej literaturze książek, które sprawę wykonywania pracy fizycznej traktują jako jeden z najważniejszych problemów społecznych. Organizację pracy ujmowano dotychczas ze stanowiska przemysłowca. W tej płaszczyźnie mieszczą się koncepcje Forda, Taylora, Fayola, objęte nazwą „naukowej organizacji pracy". P. Jastrzębski demaskuje pseudo-naukowość tayloryzmu, czy fayolizmu. Rozgranicza pojęcie organizacji *produkcji*, która zmierza do wydobycia z robotnika *maximum* wydajności — od pojęcia naukowej organizacji *pracy*, która dąży do *optimum* fizycznego trudu robotnika. Organizację produkcji i ideę maksymalnego napięcia sił pracownika dyktuje interes wytwórcy. Naukowa natomiast organizacja pracy, oparta na badaniach psychofizjologicznych, ustala najbardziej sprzyjające wysiłkom robotnika warunki, które pozwalają na zużycie minimum energji życiowej. Stwarza optymalne normy dla jego pracy. Zastosowanie naukowej organizacji pracy jest oczywiście prawie niemożliwe w obecnym ustroju produkcji kapitalistycznej, natomiast zrealizuje ją ustrój wytwórczości uspołecznionej.

P. Jastrzębski wyodrębnia organizację produkcji od organizacji pracy. Ustala on pięć zasad naukowej organizacji pracy: obciążenie naturalne, rytmiczność, holownictwo, środowisko i izolację wysiłków fizycznych.

Pod *obciążeniem naturalnem* rozumie p. Jastrzębski przystosowanie napięcia i tempa pracy fizycznej do funkcyj organizmu ludzkiego. Naturalną tendencją pewnych wysiłków jest ich koordynacja z przebiegiem procesów fizjologicznych — biciem serca i pracą płuc. Za typowy przykład tego przystosowania posłużyć może robota polna np. kosiarza. Liczba cięć kosą wynosi średnio około 36 na minutę, co odpowiada liczbie oddechów i wydechów w tym samym czasie, a więc tempu pracy płuc. Te same normy obserwujemy przy młócce i siejbie zboża. Chód robotnika polnego odbywa się z szybkością 70 — 80 kroków na minutę. Te same liczby normują wysiłek przy tarciu lnu, kopaniu kartofli.

Te dwie więc cyfry podstawowe, znamienne dla funkcji serca i płuc, wyróżniają obciążenie normalne przy pewnych kategorjach trudu fizycznego. Przykłady, zaczerpnięte z zajęć rolnych, świadczą, że wysiłki ludzkie dążą do pewnych *organicznych* norm szybkości, gdy odbywają się w warunkach naturalnych (siejba, młócka, chód). Z tego nie wynika jednak, aby tendencja ta przestała działać, gdy praca uzależniona zostaje nie od naturalnych, lecz od technicznych warunków produkcji. Dowodzi tego praca kowala, czy ślusarza, której tempo nie może odbiegać od fizjologicznej normy 75 lub 36 ruchów na minutę — pod groźbą chronicznego przemęczenia.

Ta sama dążność do obciążenia naturalnego, którego regulatorem są funkcje organizmu ludzkiego, działa również tam, gdzie wysiłki robotnika są jedynie nieznacznym dodatkiem do tysiąckroć większej pracy maszyn współczesnych.

Interesującą wędrówką autora w dziedzinie wysiłków fizycznych w towarzystwie mistycznych niemal liczb 75 i 18 prowadzi do jasnego wniosku, że szybkość w stawaniu się wysiłków nie jest rzeczą dowolną, lecz podlega pewnym prawom.

Pseudonaukowy tayloryzm organizuje wysiłek pracownika metodą chronometrażu. *„Time study man"* obserwuje z dokładnością do 1/10 sek. czas trwania poszczególnych ruchów roboczych. Na podstawie pomiarów ustala t. zw. zadanie, czyli ilość pracy, którą robotnik *musi* wykonać w określonym czasie. „Naukowość" tych metod stoi pod wielkim znakiem zapytania. Do chronometrażu wybiera się robotnika „pierwszej kategorji", którego wydajność przekracza normę przeciętną. Przyczem Taylor zaleca obserwację w czasie, gdy robotnik pracuje całą siłą mięśni, z najwyższą szybkością, do czego zachęca go specjalna premja. Słowem — „naukowcom" z pod znaku Taylora nie chodzi bynajmniej o wyznaczenie przeciętnego czasu trwania pracy, lecz o zdobycie minimum tego czasu. Taylorowskie metody określają tedy rozmiary obciążenia normalnego obserwacją najzdolniejszego pracownika. Miarodajny jest minimalny czas, którego obserwację powierza się człowiekowi skłonnemu do jaknajdalej posuniętego „obcinania". Chronometraż, posiadając olbrzymie znaczenie dla organizacji produkcji, nie pozostaje w żadnym związku z naukową organizacją pracy. Przeciwnie. „Zadanie" taylorowskie, przykrojone na miarę pracownika I kategorji, obciąża nadmiernie organizm przeciętnego robotnika, w szybkiem tempie prowadząc do jego ruiny fizycznej i duchowej.

Określenie obciążenia naturalnego należy wyłącznie do ludzi nauki, którzy chcą określić optimum, a nie maximum szybkości pracy, w zgodzie z nakazami fizjologji.

Drugim zkolei warunkiem organizacji pracy jest *rytmiczność wysiłków fizycznych.* Rytm przenika pracę najpierwotniejszych ludów. W zaraniu historji rytm był jedyną zasadą organizującą pracę, utrwaloną w swoistych pokrzykach i pieśniach, towarzyszących do dziś robocie Murzyna lub Araba. Rytm odgrywa podwójną rolę — organizuje i ułatwia stawanie się wysiłków fizycznych.

Czy mechanizacja produkcji idzie współrzędnie z ustrojem rytmiczności, znamionującym wszelką pracę ręczną? Trudno rozstrzygnąć dziś to zagadnienie, p. Jastrzębski wskazuje jedynie na możność zastąpienia wielu maszyn, działających na zasadzie ruchu stałego, na maszyny, pracujące na zasadzie pchnięć rytmicznych.

Rytm, wynikający z organicznej istoty człowieka, posiada dla naukowej organizacji pracy podstawowe znaczenie: ułatwia stawanie się wysiłków i odciąża ustrój nerwowy, gdyż rytmiczne następstwo ruchów nie wymaga napięcia ani uwagi, ani woli.

W jakim stopniu współczesna produkcja pozwala na stosowanie ustroju rytmiczności? „Organizatorzy" pracy uważają, że maszyna na jedne sposoby pozwala, innych zabrania. Jest to rozumowanie producenta - kapitalisty, który maszynę przeistoczył w fetysz. Jakie są skutki zasady, że maszyna „nie pozwala" na stosowanie ułatwień w pracy fizycznej? Przedwczesna niedokrwistość, gruźlica, wycieńczenie warst pracujących!

Rytmiczny ustrój pracy, który instynktownie zrodził się już w zaraniu dziejów, a który zagłuszyła potem ewolucja narzędzi pracy w kierunku coraz większej ich złożoności — winien być uznany według p. Jastrzębskiego za warunek ułatwiający stawanie się wysiłków fizycznych. Tak dyktuje nauka wbrew argumentacji i interesom rabunkowej eksploatacji sił robotnika.

Trzecią zasada organizacyjną jest *holownictwo.* Istota holownictwa polega na uzmysłowieniu możliwości wykonania pracy. Przodownik, stojący na czele gromady kosiarzy, holuje resztę robotników. Ułatwia robotę własnym *przykładem.* Przodownik musi przestrzegać granic obciążenia naturalnego, utrzymywać się na poziomie średniego natężenia, w przeciwnym razie przeciąży gromadę, zniechęci ją do naśladownictwa.

Niebezpieczeństwo holownictwa polega na tem, że na miejsce holownika można postawić płatnego poganiacza.

Zamiast wykazywać jedynie łatwość wysiłku, przynagla on tempem swej premjowanej roboty i stara się w interesie przedsiębiorcy podnieść napięcie wysiłków. Wadą jest tu specjalna opłata holownictwa. Podcina ona zaufanie robotników, którzy słusznie nazywają ją judaszową zapłatą.

Stosowanie holownictwa w przemyśle współczesnym wymaga demokratyzacji zakładów wytwórczych, aby wybór i premjowanie przodownika nie były wprowadzane bez wiedzy i zgody robotników. Czynnikiem holującym mogłoby być również „zadanie", wyznaczone chronometrem. Nie miałoby ono na celu popędzania, przynaglania w pracy. Ułatwiłoby jedynie wysiłek robotnika, utwierdzając go w przekonaniu, że wykonanie „zadania" leży w granicach jego możliwości.

Demokratyzacja fabryk winna tu wprowadzić kontrolę przedstawicieli robotniczych nad sporządzaniem chronometrażu.

„Zadanie" i tempo pracy będą wówczas aprobowane przez samych robotników, a nie — dyktowane taylorowską ideą maximalnej wydajności.

Czwartym warunkiem naukowej organizacji jest stworzenie *środowiska* wysiłków fizycznych, które najlepiej usposobi robotnika do zmagania się z przeszkodami wytwórczemi, do walki z materją.

Podobnie jak kościoły, meczety, pagody ułatwiają stawanie się wzruszeń religijnych — nowoczesny zakład przemysłowy powinien ułatwiać stawanie się wysiłków fizycznych.

Przykładem samorzutnie uszktałtowanego środowiska jest wielkomiejski ruch uliczny. Szofer kieruje taksówką wśród szalonego ruchu, hamuje, popędza, manewruje wśród rozpędzonych tramwajów, pojazdów, przechodniów. Jego uwaga i mięśnie znajdują się w stanie naprężenia, na jaki nie zdobędzie się nigdy na pustej szosie zamiejskiej. Wielkomiejski, natężony ruch — oto naturalne środowisko wysiłków szofera. Zasadniczym rysem takiego środowiska winien być potężny i celowy ruch w olbrzymich rozmiarach, aby własny ruch człowieka wydawał się nieskończenie mały, lekki, łatwy, jakkolwiek znaczący.

Współczesna produkcja, której tendencją jestześrodkowanie olbrzymiej masy wysiłków fizycznych na nieznacznej przestrzeni i ich splot z celowym, regularnym ruchem maszyn — tworzy naturalne podstawy dla środowiska fizycznej pracy. Środowiskiem tem jest potęga techniki współczesnej. Robotnik zo-

staje wciągnięty w wir zmagania się z materją. Psychiczne oddziaływanie otoczenia, nawskroś przenikniętego energją działania, ułatwia pracę.

P. Jastrzębski przytacza wyjątki z utworów poety — metalowca Gastiewa, który genjalną intuicją odczuwa każde drgnienie zniewalającej, zbiorowej duszy ludzi i maszyn, dźwigów, hal fabrycznych.

Aby odegrać rolę środowiska, fabryka winna — według p. Jastrzębskiego — spełniać trzy warunki: posiadać wielkie rozmiary, być całkowicie obciążona, czyli po brzegi wypełniona pracą oraz nastawiona na bieg najszybszy.

Te wskazania dla zakładu przemysłowego skonfrontowane z dzisiejszą sytuacją gospodarczą, z bezwładem i agonją produkcji, nabierają pozorów fikcji i teoretyzowania, słusznego w zasadzie, lecz oderwanego od rzeczywistości.

Piątym wreszcie czynnikiem organizacji jest *izolacja* wysiłków fizycznych od umysłowych — w czasie i w przestrzeni. Według p. Jastrzębskiego — należy odciążyć pracę fizyczną od umysłowej. Autor zastrzega się, że daleki jest od twierdzenia Taylora, iż typowy robotnik fizyczny powinien być podobny z ciała i duszy do bezmyślnego wołu. Nie chodzi bowiem p. Jastrzębskiemu o podział czynności fizycznych i intelektualnych między różne osoby. Ten sam robotnik mógłby dwie godziny pracować w biurze zakładu, obmyślając robotę wytwórczą, zaś sześć godzin przy obrabiarce — lub odwrotnie, byleby wysiłki obydwu rodzajów odbywały się każdy w innem miejscu i w innym czasie. Ważny jest podział w przestrzeni i czasie. Środowisko wysiłków *fizycznych* nie powinno być zakłócane odmienną rodzajowo i rytmicznie pracą myślową. Wysiłek umysłowy, towarzysząc fizycznemu, utrudnia go i hamuje. Stąd — postulat izolacji.

Zastosowanie naukowej, organizacji, która na podstawie badań fizjologicznych i psychologicznych ustala pewne normy pracy, należy do przyszłości. Normy te winne w prawodawstwie społecznem zająć niemniej poważne miejsce, niż przepisy o higjenie lub bezpieczeństwie pracy. Bojowniczką tedy naukowej organizacji pracy fizycznej będzie polityka socjalna, przed którą stoi nowe zadanie. Oczywiście — obecny kryzys pomniejsza aktualną wagę tych spraw. Niemniej jednak jest kwestją ważną i podstawową rozróżnienie pomieszanych dotąd pojęć pseudonaukowej organizacji *produkcji* z pod znaku Taylora od opartej na wynikach wiedzy zasad organizacji *pracy*.

Walka o te zasady oznacza jednocześnie walkę o przeistoczenie robotnika z przedmiotu na podmiot działalności gospodarczej. Ta przemiana jest dla nauki o pracy sprawą zasadniczą. Traktowanie bowiem robotnika jako przedmiotu jest podstawą fetyszyzmu, który zagradza drogę próbom naprawy.

Fetysz zysku, posiadający wagę, próbę i dźwięk metalu, rozstrzyga o zbędności naukowych metod pracy. Ideologja giełdy staje się filozofją ludzkiego życia. Innym fetyszem jest produkcja pojęta, jako „cel sam w sobie", która zapoznaje tak prostą prawdę, że towar jest dla ludzi, nie zaś ludzie — dla towaru. Równie niebezpiecznym fetyszem jest maszyna. Powstaje osobliwa ideologja maszyny; zdobywa ona wobec robotnika czynne prawa: maszyna pozwala lub nie pozwala na pewne sposoby pracy! Niebezpieczeństwo tego fetyszyzmu jest tem groźniejsze, że własność narzędzi pracy ześrodkowana jest w ręku *niepracujących*. Grozi to zagładą każdej próbie naukowej organizacji pracy, która chce usunąć rabunkową eksploatację sił robotnika.

Józef Szpecht

RELIGJA I SPOŁECZEŃSTWO*)

„Comme toutes les peuplades antiques le Sémite nomade croit vivre au milieu du surnaturel", — pisze Renan. Tekst ten — ze względu właśnie na jego całkowitą banalność obrać możemy za punkt wyjścia. Ludy starożytne żyją w przekonaniu swem pośród nadprzyrodzonego. Co znaczy to? Znaczy, że życie ich własne wydaje się im całkowicie od nich niezależne. Doświadczenie codzienne poucza ich, że biorą oni udział w przebiegu zdarzeń, niezawisłych od ich woli. Cierpienia i radości, powodzenia i niepowodzenia zawisły też od sił nieopanowanych przez człowieka, kształtujących i druzgocących jego istnienie. Człowiek nie tyle żyje, ile raczej jest przeżywany: głód, niedola, radość i tryumf — wszystko to przypływa do niego z dziedzin, których myślą zgruntować nie może. Dość jest przemyśleć życie hindusa, chłopa rosyjskiego, fellaha, jednego z tych bezimiennych i niezliczonych, z których czaszek budowali Dżengishanowie historji pomniki swojej sławy, aby zrozumieć, że religja to nie wytwór czystej myśli, uniesienia, lecz płód, który musiał się narodzić z krwawego łona ludzkości. Mieć życie i czuć, że jest ono w każdem drgnieniu zależne od czegoś po za nami, być tylko miazgą kształtowaną przez żelazne tryby mocy, zmieniających w jednym dniu w perzynę miasta, głodem ściskających setki tysięcy ust: czy nie jest to stan graniczący z szaleństwem? A ten stan to przecież normalne życie ludzkości. Świadomość oświetla tylko bladym blaskiem to widowisko.

Żywioł nadprzyrodzonego! Cóż jest przyrodą? To, wobec czego wiemy, jak się mamy zachowywać, wobec czego umiemy określać logikę naszych czynów. Nadprzyrodzoność to jest sfera przeżyć istotnych, lecz niezależnych od nas, nieznane nam a potężne sploty zdarzeń, głęboko wstrząsające naszem istnieniem. Ludy pierwotne żyły pośród nadprzyrodzoności, — mówi się. Nie pośród. Nadprzyrodzonością było własne ich życie. Historja była i jest procesem, wytwarzanym przez człowieka, lecz niepojętym i nieopanowanym przez niego. Od urodzenia wrasta on zawsze w świat, który mu nie jest obcym, który wydaje się mieć tę samą, co on, psychiczną naturę, a jednocześnie przekracza zakres jego woli. Czyny

*) *Od redakcji.* W końcu roku 1907-go i początkach 1908-go wychodził w Paryżu miesięcznik p. n. *Panteon*, redagowany przez obecnego redaktora *Epoki*. W n-rze 1-ym *Panteonu* z dn. 1 grudnia 1907-go r. zamieszczony był szkic znakomitego pisarza i myśliciela, Stanisława Brzozowskiego, p. t. „Religja i społeczeństwo". W szkicu tym znajdujemy szereg głębokich, dziś również wysoce żywotnych refleksyj. Miesięcznik *Panteon* był wydawany w niewielkiej ilości egzemplarzy, ta więc rzecz Brzozowskiego — jeden z najświetniejszych jego szkiców — jest niemal nieznana i w pracach biograficznych o Stanisławie Brzozowskim nieuwzględniana.

nasze padają w środowisko społeczne, przetwarzają się w niem, wyrastają w coś nieprzewidzianego przez nas, powracają ku nam w nieznanej nam nowej postaci i działają na nas, sprawiane przez nas a obce. Z każdego drgnienia naszego jestestwa wyrasta coś, co będzie na nas ciążyć, jak przeznaczenie, a co, choć z nas idzie, wyrasta i przeobraża się w coś nieskończenie odmiennego, potężniejszego od nas. Gdy nawet działamy, przeżywa nas coś, co jest po za nami. Czem jest to coś? Obok nas żyją ludzie, którzy są w ten sam sposób przeżywani, tkają oni z siebie dzieło, które obejmie ich i nas, jak sieć pajęcza. Każdy z nich w tem samem jest co i my położeniu. Następstwa czynów jego giną w mgle, z mgły tej wychylają się, jako groźne czy przyjazne widma i lepią z ludzkiej myślącej gliny bezimienne dzieło historji.

Oto stoi przede mną tragarz portowy: całe życie jego było przenoszeniem towarów, pochodzących z najrozmaitszych stref i krajów. Produkty stref podzwrotnikowych, wytwory hinduskich głodomorów i amerykańskich „rycerzy pracy" przewaliły się przez jego barki. Glob cały brał udział w życiu tego człowieka i życie to wszechpotężne, tak różnorodne, jak przeciwieństwa idące od bitego bambusami chińczyka, aż do dumnego robotnika krajów postępowych, rozstrzyga o tem mizernem zadowoleniu, jakiego doznaje człeczyna ten za szklankę wina, pykając swoją fajeczkę. Przecież istotnie słońce i morze brały udział w tej jego radości. Świat cały wplata się, wnika w samo wnętrze sumienia i serce człowieka. Gdy przechodzi obok tawerny, do której zajść nie może, bo podczas bezrobocia nadużył kredytu, gdy przemyka się jak obity pies przed gospodarzem lokalu, któremu jest dłużny komorne, gdy czuje się winnym on sam osobiście wobec głodnych dzieci, lub gdy ucieszony nadzwyczajnym zarobkiem pędzi przeskakując staremi, znużonemi nogami, po dwa, trzy stopnie schodów, by choremu dziecku przynieść groszową zabawkę, wszystko to jest zależne od miljonowych perypetji globowego życia. Nieurodzaj bawełny, lub przeciwnie, nadmierne jej zapotrzebowanie w przylegających do portu centrach fabrycznych strajk marynarzy, wszystko to wali się na drobinę ludzką, jak jej własny osobisty los. Czy nie czuje się ten człowiek drżącym prochem, wobec jakichś straszliwych mocy, które padają na niego lawiną spiekłych kamieni, to darzą niespodziewaną radością. Ekstazy szczęścia i ekstazy nędzy, przeżywane przez biedne ludzkie serce przychodzą zzewnątrz nieprzewidziane i nieodwracalne.

Nazbyt często, gdy się chce wytłomaczyć religję, poprzestaje się na historycznym punkcie widzenia: — jakgdyby trwanie religji nie było zagadnieniem równie istotnem, jak i jej powstanie. Gdyby religja nie wykrystalizowywała się nieustannie z naszego współczesnego obecnego życia, gdyby nie wyrastała ona z niego, pozostałaby ona po za nami, jako zewnętrzny i trudno zrozumiały fakt całkiem obcej przeszłości. Religja trwa, nieustannie się odradza i tworzy naokoło nas. Trwa, a więc człowiek żyje jeszcze wciąż religijnie i zrozumieć ją, to znaczy zrozumieć tę jej wewnętrzną strukturę psychiczną, która ją utrzymuje i bez której nie mogłaby ona wpływać na współczesną nam rzeczywistość. Gdyby religja nie istniała jako przeżycie wewnętrzne, nie utrzymałaby się jako fakt organizacji społecznej. Organizacja ta, to trwały kościec, ale gdyby nie otaczała go żywa plazma duchowa, wyłaniająca się z rzeczywistości i narastająca naokoło z gotowego szkieletu, coraz to nowemu pokładami, sama organizacja nie wystarczyłaby sobie, skamieniałaby pod nawarstwieniami coraz bardziej obcego jej, niewspółmiernego z nią życia. Zrozumieć religję, to znaczy zrozumieć jej formułę krystalizacyjną, wyjaśnić ją w samym procesie jej nieustannego powstawania i odnawiania się. Wtedy tylko sięgniemy do dna rzeczy. I wtedy też ukaże się nam całe niezrównanie głębokie znaczenie kryzysu, który przeżywamy.

Zastanówmy się nad głęboką sprzecznością, nad tragicznem zagadnieniem, jakie tkwią w samym fakcie świadomości. W świadomości swej ukazujemy się samym sobie, jako sprawcy własnego życia, odpowiadający za nie, władający niem. Stany świadomości naszej służą nam, jako podstawa i prawidło działania. Opieramy się na nich, jak gdyby były one wyrazem rzeczywistości. Człowiek opiera się w działaniu swem na swoim stanie wewnętrznym, na swojej psychice, jak gdyby była ona światem, gruntem stałym, na którym można budować. Nie dość na tem, odczuwamy tę psychikę jako siebie, przyjmujemy odpowiedzialność za skutki wynikające z niej, tak jakbyśmy byli jej twórcami. Straszliwe, prometejskie uroszczenie tkwi w słowie: ja. Człowiek myśli i czuje tak, jakgdyby był twórcą i władcą świata i życia, absolutnym początkiem.

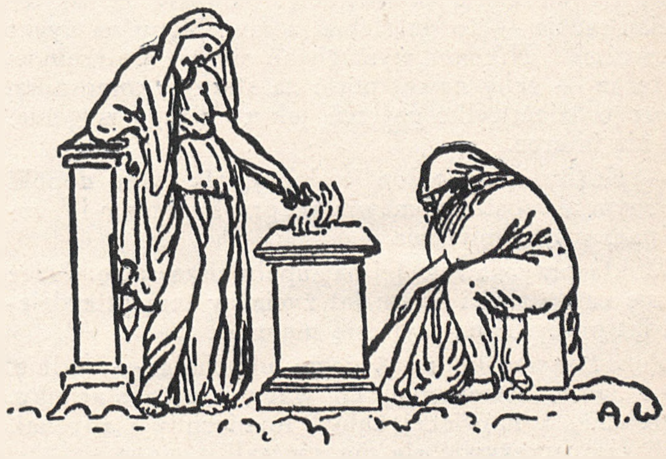
Tragarz musi czuć się sprawcą swego szczęścia, płynącego z urodzaju bawełny i swojej niedoli, spowodowanej burzą morską. Świadomość czyni go odpowiedzialnym za skutki, stwarzane przez morze, ziemię, słońce i nieogarnione mrowie ludzkie. On przecież czuje się odpowiedzialny za głód dzieci, wynikający stąd, że fabryki stoją bez zamówień, lub że burza wstrzymała gdzieś okręty. To są przecież wewnętrzne jego osobiste sprawy — nieprawdaż? Jasnem jest, są jego osobistemi przeżyciami. Człowiek traktuje jako jednolity niezależny od niego samego proces życie swej duszy, a jest on tak wpleciony w życie świata, że obejmuje, nie wiedząc o tem, w swym kręgu psychicznym, całe wszechświatowe życie. Nic dziwnego, że człowiek rodzi bogi, gdyż bóg jest to forma wewnętrzna naszego ja. Czujemy i myślimy tak, jak gdybyśmy byli bogiem, t. j. psychiką władającą sobą i światem. Bogowie zewnętrzni — to tylko narzędzia tego naszego wewnętrznego bóstwa: służą oni tylko do wypełnienia, wyrównania luk w tak rwącem się przędziwie. Na tkance historji poznajemy te węzły, które tkacz - ludzkość wiązała na rwących się niciach. Bóstwo, nadprzyrodzoność potrzebne są nam dla ustalenia związku pomiędzy czynem naszym, a wzruszeniem, spowodowanem przez nacisk całego żyjącego swem własnem życiem świata na naszą istotę.

Ustalić w ten sposób swój świat wewnętrzny, aby istniał logiczny związek między naszemi czynami i postanowieniami, a naszemi wzruszeniami; stworzyć obraz świata, który byłby narzędziem naszej woli — oto zagadnienie, rozwiązywane przez religję. Różne postacie religijnego życia zależne są od ukształtowania naszej psychiki, ukształtowania, które zkolei zawisłem jest od całego środowiska społecznego, z jakiem pozostajemy w związku.

Praca Jamesa o świadomości religijnej ukazuje nam bardzo dokładnie ten proces wykrystalizowania się religijnych stanów świadomości. James daje

nam formułę charakteryzującą całkiem dokładnie znaczenie tego zjawiska. Religja czyni łatwem do zniesienia i wykonania to, co jest niezbędne. Formuła ta, wprowadzona w związek z tem, cośmy powiedzieli powyżej, prowadzi nas dalej po za te wyniki, na których James poprzestaje i na których próbuje on nawet oprzeć konstrukcję filozoficzną. Analiza ujmuje subtelną budowę filozoficzną pragmatyzmu, który niewątpliwie wkrótce zajmie miejsce wszystkich dotychczasowych, bardziej już zużytych metod i sposobów apologetyki religijnej. James mówi: religja skupia w ten sposób całą naszą psychikę, że staje się ona dla nas źródłem wzmożonego poczucia osobistego, wytwarza ona energję, inicjatywę, zapał, jedność i zgodę pomiędzy najróżnorodniejszymi formacjami i stanami naszej psychiki. Każde ukształtowanie psychiki staje się też podstawą dla wzmożonej działalności indywidualnej. Religji może być tak wiele, jak wiele może być takich poszczególnych ukształtowań życia i duszy. Każda forma duchowego życia zostaje przez religję przekształcona w samoistną i czynną postawę wobec świata. Ponieważ zaś działanie jest jedyną rzeczywistością, jedynym jej sprawdzianem, więc też każda religja — według Jamesa — jest prawdziwa. Nie można nie uznać subtelności tej djalektyki; wydaje się niewątpliwem, że na czas pewien pragmatyzm stanie się modną formą myśli filozoficznej. Pomimo to nie można nie stwierdzić, że dzisiaj już zarysowują się całkiem wyraźnie granice i braki tego stanowiska myślowego, że pozostaje ono w wyraźnej sprzeczności nie z takim lub innym wynikiem nauki, lecz z samą zasadniczą istotą stanowiącej naukę i kulturę działalności ludzkiej. Nie trudno się o tem przekonać. Rdzeniem zasadniczym dziejowej działalności ludzkości jest usiłowanie stworzenia takiego stanu rzeczy, wypracowania takich form życia, aby psychika ludzka istotnie posiadała władzę nad istnieniem, aby człowiek nie tylko czuł się, lecz był w rzeczy samej sprawcą swoich losów. Cała działalność ludzka dąży do wytworzenia takiego środowiska, w któremby każda jednostka ludzka była w stanie celowo i świadomie stwarzać swe życie i takiego typu ludzkiego, który byłby w stanie w takiem środowisku żyć samoistnem życiem.

(dok. nast.) *Stanisław Brzozowski*



TWARDE ŻYCIE

— A jeśli ojciec nie przestanie i będzie ciągiem do tego wycierucha chodzić, to babie gnaty połamię, a może i ojca potrącę. Dla mnie — furmana od cugowych koni — to wstyd, żeby się mój stary z takiem parszywem babskiem zadawał. Już się całe podwórze z ojca śmieje i kpinkuje.

— Przeciem jeszcze nie stary chłop, to co mi tu będziesz żałował...

— To się ojciec żeń, a wstydu mi nie rób.

— A którażby mnie dziewucha chciała? Przeciem już w latach.

— Zaro się ojcu dziewuchy zachciewa. Mało to gdów, coby się wydały i za stare pomietło, byle chłopa dostać.

— Ja tam do gdowów nie ciekawy.

— A Wikta co insze, jak nie gdowa i to po wiela chłopach?

— Gdowa — to je zaro z dzieciami. A was i bez tego dziesięcioro. A będo w chałupie i swoje i cudze, to tylko jeden harmider.

— A Wikta mało bachorów miała?

— Ino ich akuratnie ni mo.

— Ni mo, bo cosik z nimi wyczyniła. Nie mówił to Mikołajczyk, że w konopiach zległa i zostawiła? Ino się zaro nie wydało, to i co komu do tego.

— A widzisz, sameś rzek, że nikomu nic do tego.

— A jeszcze raz ojcu przykazuję od baby się odczepić, bo wygonię z chałupy.

— Przecie!... Majontek wzion, to już i wyganiać myśli starego ojca na żebry.

— Wszystkie tak robią. Jak sama Musiatewiczka spotrafiła swoją matkę na zimę wyprawić, to i drugie tyż w prawie. A ojciec tera u mnie na komornem. Ja ordynaryją biorę, to i o honor stoić muszę.

— Widzicie go! Dochowaj się dorosłego syna. Póki małe — to bebechy z siebie pruj, a podrośnie — to cię nogą w zadek.

— Dziś nie wyganiam, to nimo co ojciec lamentów robić. Wstydu nie chcę, a żenić się nie bronię. Może ojciec Jagnieszkę brać.

— Olaboga, a ty znów co? Baba szczerbata i bez jednego oka i jazgot.

— Ale robotna i gospodarna i stara. O te cudze dzieci w chałupie już nie strach.

— Wicek. Gadaj zaro. Co mi tu będziesz łeb suszył o dzieci. Słuchaj. Tobie Janielka przykazała Jagnieszkę na macochę? co?

— Co tam po próżnicy gadać. Kazała — nie kazała.

— A wy, sobacze nasienie. Mało ci ojca komornika, co za niego funty bierzesz i dniówkę, bo i na cygar żałujesz, a łachy stare już ledwo z grzbietu nie zlecą. To jeszcze Janielce służąca potrzebna. Patrzcie ją, dziedziczka jako.

— Siły ni mo. Słabuje.

— A ino. Siedmioro bachorów w sześć lat. Tobie wolno. A ojciec — to albo na żebry, albo niech się z Jagnieszką żyni.

— Nibyto Wikta je lepsza.

— Ale choć nie jazgocze nade łbem. Cicha.

— I tako piekna jak róża.

Stary machnął ręką i poszedł. Syn splunął w garść, mocno ujął widły i wziął się do wyrzucania gnoju od źrebaków.

A z pobliskich chlewów chyłkiem wysunęła się Wikta, która podsłuchiwała za cienkiemi drzwiami. Jeszcze na jej twarży był radosny odblask tryumfu, że o nią była kłótnia i że krwi napsuła znienawidzonemu furmanowi. O starego jej nie szło. Nie będzie ten — to drugi. A ożenić się — i tak żaden z nią się nie ożeni. A bo jej niewola zresztą jednego chłopa stale mieć na karku? Opierać go, jeść mu gotować i wysługiwać się jeszcze cudzej synowej? A Wikcie to na co? Może za swoich młodych lat byłaby się chętnie wydała, cóż, kiedy los inaczej pokierował. Dziś nie narzekała na swą dolę. Uważała, że tak lepiej. Pracuje — to na siebie, a nie chłopu na cygar i karczmę. Nikomu wysługiwać się nie potrzebuje. A teraz — żeby nawet pójść za starego komornika, którego dzieci tylko patrzeć, jak z chałupy wygonią. To nie interes.

— Każdy jeden chłop je dobry, ale tylko dopóki ślubnym nie zostanie, mawiała z przekonaniem IV-voto pani magazynierowa.

Wikta przyznawała jej najzupełniejszą rację. Przez swoje czterdzieści osiem lat życia, w tem czterdzieści lat pracy, napatrzyła się niemało.

Ponad wszystko na świecie ukochała — świnie.

— Jedno stworzenie, co warte jest starunku. Człowiek, a najwięcej chłop, to niechby i zdychał. jeśli sam przeżywić się nie spotrafi.

Człowiek żyje — no to żyje. Niech sam o sobie stanowi. Co innego stworzenie, które musi być zamknięte w oborze czy w chlewie, bo jakby wypuścić — toby w zimie zmarzło, zresztą ludzie by ukradli. Kłopotać się o swoją przyszłość — też człowiek nie powinien. Będzie, co ma być. Jak się człowiek zestarzeje, to i tak, czy bogatego, czy biednego, dzieci nie oszczędzą i tak czy owak — stary zawsze biduje. W każdym stanie tak samo się dzieje. Dlatego Wikta nigdy nie chciała mieć dziecka. Co innego znosić krzywdę od obcych, a co innego — od swojego.

Przez całe swoje życie Wikta nigdy paru złotych nie schowała na „czarną godzinę". Swoje „zasługi" — wynagrodzenie pieniężne za pracę — momentalnie obracała na poczęstunek coraz innych kawalerów.

— To ja na to haruję, żeby grosze chować? Jeszcze może na pochówek swój zbierać? Teraz żyję. Na chorobę i tak szpital mnie musi zabrać. Majontku ni mom, to gmina zawsze zapłaci. A pochówek, obleczenie na śmierć? A toć przecie na wierzchu mnie, jak zemrę, nie zostawią. Muszą zakopać. To moja głowa o tem się frasować?

W naturze Wikty tkwiło silne poczucie konieczności różnic społecznych, bardzo jednak uproszczone. Całe społeczeństwo Wikta dzieliła poprostu na: panów, gospodarzy, służbę i Żydów. Ludzi z miasta nie znała. A doktora czy „ometrę" uważała także za pewien rodzaj „służby", bo przecież im trzeba płacić. Proboszcz natomiast zaliczał się raczej do panów, bo zawsze i ten grunt koło plebanji i kościół, w którym rządzi, dodają mu splendoru. Każdy powinien umieć się zachować stosownie do swego stanowiska. Jeżeli należy do „służby" — to niewolno mu przybierać żadnych wyższych tonów. Dlatego Wikta absolutnie nie słuchała gospodyni, która przecież tak samo bierze zasługi, jak i ona.

Przed jednym tylko rządcą Wikta znała mores. Także nie pochwalała mu, że się nosi zpańska, ale — podobał jej się ogromnie. Gdy ją zwymyślał od ostatnich za wypuszczenie ukochanych prosiąt na oziminę, albo za kradzież osypki koniom dla tychże prosiąt, Wikta w skrytości ducha wyobrażała sobie, że pierwszy krok w kierunku intymniejszych stosunków już zrobiony, i cała rozpromieniona, szła do kuchni, żeby się pochwalić:

— Tak me pan rzońca sklon!

Radosny wyraz czynił jej zwykle ponurą ogromną twarz jeszcze bardziej odpychającą. W kobiecie tej nie było nic, coby przyjazne spojrzenie zatrzymać mogło. Zawsze z kosmykami czarnych włosów, wymykającemi się nieporządnie z pod niewiadomego koloru chustki na ciemne kanciaste oblicze, w którem maleńkie bure oczki miały wyraz chytry i senny, z rękami zawsze oblepionemi kartoflami z osypką, w nieprawdopodobnie deseniowych wysoko zadartych kieckach — Wikta stąpała ciężko jak grenadjer, z mozołem stawiając czerwone i grube jak kłody, żylaste, chore nogi. Ta choroba nóg była jedyną zmorą, jak ją niekiedy trapiła. Oczywiście nie bez wpływu na tę dolegliwość musiały być różne babskie sztuki Wikty, jakie wyprawiała z poronieniami i porodami. Mówiła o tem zresztą bardzo niechętnie. To była jej własna sprawa.

Czasem w kuchni, gdy rozmowa się ożywiła i ktoś nie pamiętał daty jakiegoś zdarzenia, Wikta odzywała się burkliwie ze swego kąta:

— Ja służyłam wtedy w X. Byłam tam dwa roki. To było wtedy, kiedy już trzeci raz chodziłam nie sama. Pewnie już ze trzydzieści lat temu.

Albo:

— To było zara potem.

Takie „po tem" w ustach Wikty brzmiało złowróżbnie. Kazało się domyślać jakiejś ponurej i okropnej historji. Są i w świecie zwierzęcym samice, które nigdy młodych się nie dochowują.

Sentymentalną gospodynię tajemniczość stale otaczająca Wiktę intrygowała niezmiernie. Koniecznie chciała wiedzieć, czy Wikta — kochała. Może tego pierwszego?

— Pirszy raz — to mnie było pietnaście roków. Ojciec już dawno nie żył. Skrążałam reczkę na przetaku u macochy w stodole sama jedna. A tu z szosy wpadł jakiś chłopak do mnie. Nawet go nie znałam. I już. I odrazu mi zaszkodziło.

— A to pierwsze dziecko żyje, chowa się gdzie?

— Iiii... Miałby już ze trzydzieści i parę. Chłopak był. Ale słaby i macocha nie chciała go chować. Zmarło mu się.

To wszystko. „Zmarło mu się". Ale czy macocha i szesnastoletnia matka żadnej roli w tem nie odegrały? A później — Wikta już umiała sobie radzić.

Harująca całe życie, brzydka i niezupełnie normalna istota nigdy nie miała żadnych pretensyj co do swej powierzchowności. Chłop przecie nie dba o ładną kieckę. Chodziła więc zwykle brudna i bylejak odziana. Raptem w parę tygodni po pamiętnej sprzeczce furmana z ojcem o nią, coś się w Wikcie odmieniło. Ktoś ją odmienił. Wikta zaczęła dbać o swój wygląd. Czy nie było to czasem niewyraźne uczucie do młodego rządcy kobiety w wieku krytycznym?

Wikta postanowiła być piękna. Furman z pełną perfidji ironją rzucił ojcu, że Wikta jest piękna „jak róża". Coś z tego powiedzenia utkwiło jako prawda w jej świadomości.

Gospodyni sprawiła sobie na Wielkanoc nowy kostjum. Wikta też zapragnęła gwałtownie i namiętnie mieć kostjum. Powiedziała, że nie chce procentu od sprzedanych świń. Te pieniądze są jej przykre, bo tak, jakby „dzieci sprzedawała", a chce, żąda, żeby jej kupiono kostjum.

Życzeniu Wikty stało się zadość. Dostała materjał na gruby, ciepły kostjum. Do tego — nawet guziki.

Wikta szalała z radości. Reszta służby wyśmiewała ją na potęgę. Wikta bała się trzymać cenną rzecz w kuferku. Wiadomo. Choćby i gospodyni otworzy widelcem kłódkę i kawałek materjału gotowa dla siebie urżnąć. Do szwaczki także szkoda dawać, bo uszyje skąpo i ciasno, a dla dzieciaka sukienkę, albo palto z tego samego materjału wykraje. Tak więc upragniony kostjum stał się jej najcięższą troską, gdyż był jeszcze materjałem, a nie kostjumem. Wikta umyśliła ukryć swój skarb w maleńkiej skrzyneczce w chlewach w tej klatce, w której jest tylko słoma na podściół i sieczka.

**
*

Ojciec furmana dał się wkońcu synowi nakłonić i w miesiąc później zgodził się na zapowiedzi z Jagnieszką. Bał się narazić synowej — i bał się już iść na żebry. Uważał jednak, że dość mu będzie Jagnieszki od błogosławieństwa ślubnego aż do samej jej śmierci. Teraz wolał jeszcze Wiktę.

Zaszedł raz do chlewów podczas nieobecności Wikty i wypatrzył cenną skrzyneczkę. Pokusa była zbyt wielka. Czyż można się dziwić? Wziął — i sprzedał za 5 zł. Żydowi.

Hanna Koryzna

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA

WIERSZ

Wiersz mnie z bagnisk przeżyć wyprowadza,
jak zwierz dobry, oswojony niedźwiedź.
Z pośród liści, ljan, konarów, łeb wysadza,
i nozdrzami, i uszami, bada przestrzeń.

Potem zwolna, krok za krokiem, z dżungli, z bagien,
z uroczyska, pnie się, z trudem, tak leniwy,
i uważny, aby światłem nazbyt nagłem,
nie opalić moich oczu, swojej grzywy.

Nigdy prawie nie zdołamy wyjść nazewnątrz,
Zawsze nazbyt prędko się zmęczymy,
i wplątani w dżunglowate, zwilgłe drewno,
upadamy, zasypiamy, przytuleni.

Nów nas budzi, w noc wkręcony, jak zew samca,
więc zrywamy się, biegniemy, znów, naoślep,
potykamy się, gubimy, po polankach
rozciągamy śladów błędnych winorośle.

Zawsze we śnie zapomnimy, gdzie jesteśmy,
i musimy wciąż na nowo szukać drogi.
Ku poznaniu, z gąszczu przeżyć, mój zwierz leśny,
wiersz lękliwy, wciąż na nowo mnie wynosi.



PRZEGLĄD POLITYCZNY

DZIENNIKARSTWO WSZECHŚWIATOWE W OBRONIE GODNOŚCI ZAWODU

Na drugi dzień po uchwaleniu na międzynarodowym sejmie dziennikarskim (Fédération Internationale des Journalistes) w Budapeszcie rezolucji o tem, że stosunki tego zrzeszenia międzynarodowego z „Reichsverband der deutschen Presse" (Związek państwowy prasy niemieckiej) są niemożliwe, kongres dzięki uprzejmości gospodarzy węgierskich płynął dwoma okrętami po cichych falach jeziora Balaton.

Towarzystwo było nietylko międzynarodowe, jak cały czas na kongresie, ale i bardziej różnolite: oprócz delegacji na kongres, złożonej z przedstawicieli 23 organizacji, wśród zażywających rozkoszy wycieczki znaleźli się korespondenci zagraniczni, bawiący w Budapeszcie. Przypadek zetknął na pokładzie niżej podpisanego z dziennikarzem francuskim o poglądach rojalistycznych. Jest ich nie wielu, ale są i tacy. Rozmówca mój oburzał się na mocarstwa sojusznicze, że nie dopuściły do powrotu Karola Habsburga na tron Węgier, wypytywał, kiedy książę Sykstus de Bourbon Parma zasiądzie na tronie polskim i co o tem myśli Marszałek Piłsudski. Na mój sceptycyzm wobec wszelkich kombinacji monarchistycznych odpowiedział zapewnieniem, że we Francji jest więcej rojalistów, niż nam się wydaje.

Przyjęliśmy (delegaci polscy) te zapewnienia z lekkim uśmiechem niedowierzania i dziennikarz francuski szybko zmienił temat, przechodząc do słynnej rezolucji kongresu o Niemcach.

— To jest rezolucja masońska — orzekł ze stanowczością taką samą, z jaką chciał szerzyć monarchizm w całej Europie. Oczywiście to określenie miało być druzgocącem dla rezolucji, która nie tylko uzyskała głosy delegatów wielkiego Syndykatu dziennikarzy francuskich, ale była nawet częściowo redagowana przez delegata francuskiego, redaktora Sudre'a. Określenie rezolucji budapeszteńskiej, jako masońskiej, wbrew opinji przygodnego rozmówcy, jest najlepszą jej pochwałą.

Tekst tej uchwały powziętej jednomyślnie bez sprzeciwów (jedyny z obecnych na sali delegatów opuścił obrady przed oddaniem głosu, t. j. przedstawiciel Litwy p. Purickis) podajemy na innem miejscu. (Patrz „Wydarzenia i dokumenty").

Rezolucja ta jest, co wielu może zdziwić, owocem kompromisu. Skrzydło rady-

kalne (pod tym względem) domagało się skreślenia Reichsverbandu z listy członków F. I. J. Bo skoro usunięto z organizacji dziennikarskiej ludzi na zasadzie ich pochodzenia niearyjskiego lub przekonań politycznych (marksistowskich) — to wedle ścisłego brzmienia statutu Międzynarodowej Federacji Dziennikarskiej, która stawia sobie za cel „obronę wszelkiemi środkami wolności prasy i swobody wykonywania zawodu dziennikarskiego", organizacja niemiecka, do Federacji nadal należeć nie może.

Stwierdzenia tego domagał się należący do delegacji Związku Dziennikarzy Rzplitej przedstawiciel autonomicznej sekcji żydowskiej d-r Heszel Gotlieb. Taksamo mniej więcej brzmiała opinja delegacji belgijskiej, a i delegacje holenderska i duńska bliskie były takiego właśnie ujęcia sprawy.

Na innem stanowisku stanęli delegaci syndykatów dziennikarskich Austrji i Szwajcarji. Sądzili oni, że skreślenie Niemiec jest krokiem niestosownym dla tego choćby, że Niemcy na kongres nie przybyli, a w listach podkreślali, że organizacja ich jest „im Schwebezustand" w stanie płynnym, dlatego wreszcie, że wyrzucając obecny „Reichsverband", wyrzucałoby się poza nawias organizacji dziennikarskiej tysiące (dokładnie 4.300) zorganizowanych dziennikarzy, którzy aż do przewrotu hitlerowskiego brali czynny, żywy i lojalny udział we współpracy organizacyjnej.

Ze starcia tych dwu formalnie różnych, ale w gruncie rzeczy zgodnych opinji wyrosła ta „masońska" rezolucja, z godnością reprezentująca międzynarodowy świat dziennikarski.

Podkreślić trzeba, że zasadniczy ustęp rezolucji formułujący punkt oskarżenia pod adresem „Reichsverbandu" został zredagowany przez delegację polską, mianowicie ten ustęp, który stwierdza, że związek niemiecki z organizacji zawodowej przekształcił się na polityczną. Bo przecież organizacje zawodowe, poza wymaganiami etyki, nie mogą stosować żadnych ograniczeń politycznych, wyznaniowych, czy rasowych do swoich członków.

Zanim jednak doszło do tego zdrowego kompromisu, w którym niema nienawiści dla narodu niemieckiego i dla dziennikarstwa niemieckiego, kompromisu, w którym, jak wyraził się delegat francuski, drzwi nie zostały ani zamknięte, jak chcieli jedni, ani otwarte, jak chcieli drudzy, ale przymknięte (la porte entreouverte), kompromisu, który jednak stwierdził, że zhitleryzowany związek nie jest związkiem zawodowym i nie może zasiadać wśród innych organizacji, zanim to uchwalono, Zjazd przeszedł trzy dni namiętnych i emocjonujących obrad, i na plenum i w specjalnej komisji.

Przebieg tych obrad zasługuje na streszczenie, rzuca światło na to, jak w skomplikowanym mechanizmie zbiorowego myślenia biorą górę zasady sumienia, sprawiedliwości i prawa, odwaga cywilna i odpowiedzialność nad wykrętami i wyrachowaniem materjalnem.

Na samym wstępie obrad w sprawozdaniu dorocznem sekretarz generalny F. I. J. p. Stephen Valot poświęcił parę ustępów sytuacji w krajach, w których nie jest uznana zasada wolności prasy i wykonywania zawodu. Ani jednem słowem nie wspomniał w raporcie o Niemcach. Robiąc listę obecności nie wspomniał o nieobecnych i nie wytłumaczył przyczyn ich nieobecności.

Wywołało to natychmiastową reakcję. Rozmowa o „nieznanym dziennikarzu" została w sposób zdecydowany zamieniona na dyskusję o sytuacji dziennikarstwa w Niemczech. Delegaci Belgji, Holandji, Danji, Austrji zażądali informacji od sekretarjatu.

Powoli z teki sekretarjatu poczęły wypływać dziwne dokumenty. Z jednego z nich dowiedzieliśmy się, że delegacja niemiecka uzależniła swój udział w kongresie od tego, czy F. I. J. wystosuje do wszystkich organizacji apel o przeciwdziałanie t. zw. „Greuelpropaganda".

Z drugiego listu dowiedzieliśmy się, że odmowa zadośćuczynienia tej pretensji berlińskiej uniemożliwia Niemcom przybycie na Zjazd. Również jako motyw swej absencji podali Niemcy, że delegacje polska i czechosłowacka szykują rzekomo jakieś wnioski o „rozwoju wydarzeń w Niemczech", co było wierutnem kłamstwem.

Wśród tych wydobywanych z zanadrza informacji, członek delegacji polskiej d-r Gotlieb postawił wniosek: prosimy o dossier sprawy niemieckiej w organizacji.

I tu nastąpiło nowe nieporozumienie; sekretarjat generalny nie mógł zrozumieć, o jakie dokumenty chodzi. Delegaci francuscy uważali, że niema materjału do dyskusji o stanie dziennikarstwa w Niemczech, delegat Austrji chciał mieć dokumenty, aby dowieść, że jest za wcześnie na „sąd nad kolegami niemieckiemi". Delegaci angielscy milczeli, jak zaklęci, a sekretarjat generalny i prezydjum patrzyły z zakłopotaniem na sytuację, z której w razie usunięcia Niemców wyniknie ciężki stan materjalny organizacji, bo... zniknie składka niemiecka.

Po przerwie kongres wraca do dyskusji; część dokumentów zgodnie z wnioskiem polskim już jest w rękach, delegacja polska, belgijska, duńska, żądają dalszych informacji, których nie dostarczyło prezydjum. I oto w rękach delegata Austrji znajduje się oficjalny organ „Reichsverbandu" i z niego wynika, że syndykat niemiecki zerwał z zawodowością, oddał się w ręce rządu Hitlera.

Jeden z delegatów Holandji, który patrzał zbliska na przebieg wypadków w Niemczech ze spokojem i objektywizmem opowiada, jak stworzono armję miernot urzędniczych z hitlerowców przydzielonych do funkcji dziennikarskich. Zanika dziennik w Niemczech, — mówi, — znika dziennikarz, zjawia się na jego miejsce urzędnik agitacji i propagandy politycznej. Cóż oni mają mieć za wspólne interesy z zawodowem dziennikarstwem?

Nastrój chaosu i rozbieżności, nastrój niezdecydowania. Informacje, których brakło, są na miejscu. Delegat francuski p. Sudre zrywa się z miejsca z biuletynem Reichsverbandu w ręku i woła: „Już żadnych więcej dowodów mi nie potrzeba. Gdybym nawet nie słyszał tego, co tu mówiono, wystarczy mi stroniczka biuletynu, na której wydrukowano depesze Reichsverbandu do pp. Hitlera i Goebbelsa, oddające całą organizację do dyspozycji rządu tych panów".

Tylko jeden delegat Brazylji jeszcze ma wątpliwości, czy Niemcy pogwałcili statut F. I. J., czy nie. Nikt jego wątpliwości nie słucha. Zjazd wybiera komisję, której poleca ułożenie rezolucji.

Przewodniczył komisji prezes F. I. J. p. Herman Dons (Belg), do komisji należeli p. Sudre (Francja), Voorbeytel (Holandja), Eskelund (Danja), Branisteanu (Rumunja), Detry (Belgja), Zappler (Austrja), Feldmann (Szwajcarja), Bacher (Niemcy z Czechosłowacji) i Stefan Grostern (Polska).

Dwa dni zeszły na dyskusję, ustalono w niej tezy, obrano wreszcie podkomisję 3-ch: Sudre, Eskelund i Zappler, która ułożyła tekst.

Gdy na drugi dzień po ustaleniu tekstu zebrało się plenum komisji, znów dała się we znaki chwiejność: Niemiec z Szwajcarji i Austrjak poczuli, jakgdyby wyrzuty sumienia, że wydali wyrok na swych rodaków z Rzeszy Niemieckiej. Znów rozgorzały namiętności. Rozległy się wówczas zdecydowane głosy Belgji i Francji: jeżeli tego nie uchwalimy, to... nie mamy co robić w F. I. J.

Ze strony polskiej padła uwaga: albo wierność dla obecnego statutu i idei wolności prasy, albo zmiana statutu, a wówczas można drzwi otworzyć i hitlerowcom i faszystom i komunistom.

W komisji uchwała zapada jednomyślnie, tylko Niemiec z Szwajcarji wstrzymuje się od głosu. Na plenum i ta absencja znika. Uchwała zapada jednomyślnie wśród hucznych oklasków.

Wówczas dopiero Anglicy, którzy wprawdzie głosowali za rezolucją, ale nie zabierali głosu, składają deklarację, stanowiącą prawdziwe pocieszenie dla strwożonego na wstępie Sekretarjatu: organizacja dziennikarzy angielskich, licząc się ze zmniejszeniem zasobów F. I. J. przez odrzucenie składki niemieckiej, nie skorzysta z przyznanej sobie ulgi i wpłaci należną składkę w pełni. W ten praktyczny sposób podkreślili Anglicy swoje ideowe stanowisko.

Oto przebieg najważniejszych momentów dyskusji, uwieńczonej uchwałą, która stanęła na straży godności zawodu dziennikarskiego.

Stefan Grostern

KSIĄŻKI NADESŁANE

Adolf Rudnicki: Żołnierze. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa 1933.

Kazimiera Muszałówna: Baran zdrajca. Obrazki amerykańskie. Wydawnictwo tygodnika „Kobieta współczesna". Warszawa 1933.

Edward Frauenglas: Mandeville. Gebethner i Wolff. Warszawa 1933.

Józef Conrad: Lord Jim. 2 tomy. Przekład Anieli Zagórskiej. Dom Książki Polskiej. Warszawa 1933.

Louis Bromfield: 24 godziny. Powieść. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1933 r.

Adam Ważyk: Latarnie świecą w Karpowie. Powieść. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

Juljusz Grot: W przededniu. Poezje. F. Hoesick. Warszawa 1933.

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

W jednem z pism codziennych, w którem roi się od sensacyjnych opisów zbrodni, procesów karnych i t. p. znalazłem, o dziwo! wiadomość wyjątkową o „szlachetnym czynie", mającym świadczyć o tem, że jednak tak źle z „moralnością" naszą nie jest. A czynem tym jest ni mniej ni więcej, tylko zwrot pieniędzy, pozostawionych przez roztargnioną pasażerkę w taksówce! Przecież szofer, nb. wymieniony z imienia i nazwiska, z podaniem N-ru taksówki, w danym wypadku spełnił tylko obowiązek każdego uczciwego człowieka (że pominę kwestję odpowiedzialności karnej za przywłaszczenie sobie rzeczy znalezionej); to też wzmianka powyższa, umieszczona na życzenie uradowanej pasażerki, nie tylko nie jest zaszczytną pochwałą, lecz powinna być uznana za poniżenie godności osobistej tego właśnie uczciwego człowieka.

Łączę wyrazy poważania *L. L.*

Od administracji

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 3-ci kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6 (Konto P.K.O. Nr. 26.630.)

Do numeru niniejszego dołączamy blankiet P.K.O.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Stefanji K. w Warszawie. Pisanie o *wszystkich* wystawianych sztukach teatralnych uważamy za niecelowe i niepotrzebne. Piszemy tylko o takich, które pobudzają do uwag pożytecznych. Pod tym względem rzeczywiście różnimy się od innych wydawnictw. Szkoda nam miejsca na recenzje o sztukach nijakich. Nie widzimy powodu, żeby czytelnika naszego zajmować sprawozdaniami z każdej sztuki teatralnej. Niech sobie to robią recenzenci, którzy tylko z tego żyją.

Panu St. W. K. w Radomiu. Blisko 2000 lat temu pisał Seneka: „Źle o tobie mówią? Ale źli! Złym się nie podobać, jest to pochwałę odbierać. Nie może nijakiej wagi mieć wyrok, gdzie sądzi, kto sam sądu godzien. Źle o tobie mówią? Albowiem dobrze mówić nie umieją. Poniektóre też psy takowe mają przyrodzenie, że nie z zajadłości, ale dla zwyczaju jazgocą. Źle o tobie mówią? Jeśli słusznie, nie to, że mówią jest przykre, lecz że nie powiadają nieprawdy. Jeśli niesłusznie, tedy niewinnością moją niezmiernie się raduję. Widać albowiem, iż wytykaliby rzeczy prawdziwe, jeśliby mogli"... („Listy moralne do Lucyljusza").

Panu Mieczysławowi Z. w Przemyślu. Owszem, to bardzo łatwy sposób. Możnaby — jak Pan pisze — „ściągnąć tłumy czytelników". Tylko — pewna przeszkoda: „Epoka" została założona nie dla sensacji tego poziomu. Nie uciekając się do takich sposobów, ugruntowaliśmy byt „Epoki", która się dobrze rozwija. Są, widać, jeszcze czytelnicy o wymaganiach szlachetniejszych.

Pani Stanisławie M. w Częstochowie. Wszystko to może być „prawdziwe", „z życia wzięte", ale nie ma nic wspólnego z literaturą. Bohaterowi noweli, którego tak okrutnie zniszczyła „wampirzyca" i „hetera", bardzo współczujemy, wszelako nie zasłużył, żeby go uwieczniać w druku. Nieszczęśliwy — to prawda, ale straszliwie nieinteresujący. Chce Pani tę nowelę drukować „ku przestrodze" — ale temu celowi musiałby towarzyszyć talent pisarski, którego nie widać. Poczciwy zamiar — to za mało.

Panu A. N. w Łodzi. Pisaliśmy o tem kilka razy. Niech Pan przejrzy ostatnie numery „Epoki".

Panu Wł. L. w Lublinie. Dziękujemy. Wszystkim wysłaliśmy.

TREŚĆ NUMERU





REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-392 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.